WŁADYSŁAW ORDON

(SZANCER).

ZBIOREK POEZYI.

I.

LOTERYA.—SUKNIA BALOWA.
PRZED OKNEM BANKIERA.
BEZ ŚLUBU.—CIEKAWSKA.
WIGILIA SAMOTNYCH.
OSTATNIA SCHADZKA.



WARSZAWA.
Nakładem T. H. Nasierowskiego.
Świętojańska Nr. 7.

Дозволено Цензурою
Варшава, 9 Августа 1894 года.

Druk F. Csernák, Krak.-Przedm. Nr. 6.

WSTĘP.

Ordon (Władysław Szancer) należy do najbardziej utalentowanych poetów z czasów pomiędzy 1865 a 1880 rokiem. Niestety, talent jego nie zdążył rozwinąć się tak, jakby mógł. Nieubłagana choroba umysłowa przecięła nić złotą którą snuł śpiewak i choć Ordon żyje do dzisiaj, lutnia jego ucichła już na zawsze.

To jednak, co Ordon na lutni swej wyśpiewał, wystarcza by nazwisko jego błyszczało w dziejach poezyi naszej, jak gwiazdka czystego i świetnego blasku. Forma piękna, myśl podniosła, uczucia szczere i młodego zapału pełne, zapewniają pieśniom Ordona żywot długotrwały.

Czterech poetów pojawiło się w owej dobie prawie jednocześnie; dwóch z nich zaszło daleko — to Gomulicki i Stebelski, dwóch rychło opaliło skrzydła — to Ordon i Miron.

Zbiór poezyi Ordona ukazał się we Lwowie w roku 1878. Zawierał on wiele utworów rzetelnie pięknych i odznaczających się szlachetnym nastrojem. Miłość dla

maluczkich tego świata stała w nich na pierwszym planie.

Drugi zbiorek poezyi składający się z prześlicznych poemacików „Loterya" i „Na strażnicy" wyszedł w Warszawie nakładem redakcyi „Przeglądu Tygodniowego".

Po za tem wydał Ordon ładną nowelę pod tytułem „Fiołki" i doskonały przekład „Ahaswerusa" Hamerlinga oraz „Dekamerona" Boccaccio.

Po pismach peryodycznych znajduje się sporo drobnych utworów Ordona, dotąd w oddzielnym nie wydanych zbiorku. Garść mało znanych tych pieśni wybraliśmy (głównie z „Przeglądu Tygodniowego") i takowe w książce naszej oddajemy ogółowi.

Wydając zbiorek pieśni Szancera, przypominamy publiczności polskiej poetę, który na pamięć i uznanie ze wszech miar zasługuje. Jeśli zbiorek ten dozna przychylnego przyjęcia (o czem nie wątpimy), to w krótkim czasie ukaże się zeszycik drugi poezyi Szancera.

LOTERYA.

I.

Świt zajrzał w ciemną izbę i pierwszym pro-
[mieniem
Z rzemieślnika otwartem spotkał się spojrze-
[niem.
Dziecko z matką w śnie twardym spoczywało
[jeszcze,
Rzemieślnik wstał posępny, zimne czując dre-
[szcze,
Spojrzał na zgasłe dawno w kominie zarzewie,
Na biały śnieg za oknem i otrząsł się w gniewie,
Potem koło warstatu błędnem okiem zmierzył
I przeniósł wzrok na bladą na łóżku kobietę,
Na dziecko ciałem matki od zimna okryte,
I w szeroką pierś ciężką ręką się uderzył.
W zanadrzu zbudził szelest jakiś i drgnął
[cały, —

Z gorączkowym pośpiechem wyjął świstek bia-
Liczbami zapisany i wzrok mu złagodniał, [ły,
Wyprostował się żywo twarzą wypogodniał.
I ku drzwiom się posunął z uśmiechem na licu;
Nagle jednak przystanął i spojrzał na łóżko:
Dziecko było jak kwiatek blady—przy księ-
[życu,
Znać zdawna ledwo chleba żywione okruszką,
Z czarniejszemi piętnami pod błękitnem okiem,
Od włosów co mu na twarz spłynęły potokiem;
Bez dołków, bez tych puszków jakby nad brzo-
[skwinią,
Które dzieci podobne do aniołków czynią.
Przedwcześnie zestarzało: znać z nędzy prze-
[padło,
Z piersią bardziej wychudłą i bardziej zapadłą
Niż pierś matki, zaklęsła ciężkiem odetchnie-
[niem.
Kobieta przez sen dziecko objęła ramieniem.
O palcach zaostrzonych jak zwierzęcia szpony;
Nad niemi snu nie latał anioł oskrzydlony,
Lecz zmora bezsenności i gorączki siła
Gniotąc ich, zmieszanemi słowy z nich mówiła.

. . . .

Rzemieślnik słuchał żony i chmurniał na nowo,
Może jego sumieniem wstrząsło które słowo,
Może pamięć dni przeszłych w duszy obudziło,
Dni z pracą i dostatkiem—teraz nad mogiłą.
Wrócić do nich—zapóźno, zresztą czyż wy-
[doła?!
Żonę już anioł śmierci cichym głosem woła,
Na dziecko, ostrząc zęby, czycha śmierć gło-
[dowa.
Za nic praca!... los jeden może ich zachowa.
Ach jeden tylko obrót fortunnego koła!
Ach jedna tylko cyfra—drobna cyfra jedna!...
Kiedy tyle już ważył i już razy tyle
Szczęście chybił o kreskę, o mgnienie, o chwilę!
Wrócić teraz?... nie... nigdy! Wszystko los mu
[wróży,
Nędza, która przeciągnąć się nie może dłużej,
Rachunek—sny pomyślne... i przeczucia wie-
[szcze;—
Postawi jeszcze dzisiaj—raz ostatni jeszcze...
Choćby przyszło wyżebrać, choćby podjąć z bło-
Na tę stawkę ostatnią: śmierci lub żywota [ta,
Postawi... tak... bo dzisiaj szala się przechyli...
I stanie się na jawie,—o czem nie marzyli!...

Tak szeptając już widział—czego tak pożądał,
Dotykał się rękami... oczyma oglądał...
Nie wątpił już... nie chmurniał... Mgła jakaś ró-
[żowa
Nędzę, żonę, dziecko mu przed okiem chowa,
Ścisnął papier wyroczny... w pałającej dłoni,
Rusza i myślą kroki wyprzedzając, goni,
Uderzył w klamkę hardo patrząc do okoła,
I stanął niecierpliwy: z izby ktoś go woła:

— Odchodzisz?!
— Zaraz wrócę... puść mnie... wiem co
[trzeba!...
— Nie dla mnie... lecz dla dziecka chleba...
— Nie mam chleba!...
Pójdę poszukać...
— Kłamiesz... głos się tobie mieni...
— Puść mnie!... przyniosę...
— Idziesz... jesteśmy zgubieni!...
Ty znowu do kantoru!...
— Raz ostatni... żono!...

Kobieta się podniosła z twarzą rozżarzoną
Płomieniami gorączki i świętego gniewu;

Już dawno żal w niej szukał na chwilę wylewu,
Teraz ta burza cierpień w jej duszy gotowa;
Takie z piersi dyszących wydarła jej słowa:

— Nieszczęsny!... Raz ostatni!... Ileż takich
Rzuciłeś pracę sytą i spokojność miłą, [było...
Rzuciłeś dobrą sławę i domową zgodę,
Rzuciłeś chleb powszedni, swoją sól i wodę.
Rzuciłeś wszystkie skarby nasze po kolei,
Wreszcie i życie swoje... w otchłań swych na-
[dziei!...
Przeklęty dzień gdyś zaczął!... Szatan twoją
[rękę
Pochwycił i w piekielną popadłeś paszczękę!...
Wszystko poszło... zadługom już cierpliwa
[była;
Dzisiaj... słuchaj... jeśli ci dusza twoja miła,
Nie daj skonać dziecięciu!... bo jeżeli skona,
Z grobu przyjdę rachunku żądać, zrospaczona,
I w godzinę skonania—już w anielskiej bieli—
Stanę z dzieckiem zabitem u twojej poście-
[li!...—

Tu padła i złowieszczym kaszlem się zaniosła.

On milczał. Dziką wściekłość w sercu jego rosła.
Wściekłość gracza i maską choć przykryta
[szczelną
Twarz jego walką uczuć zdradziecko piekielną.
Wreszcie szepnął ponuro:
— Cóż pocznę? gdzie ruszę?...
Nie mam grosza...
Kobieta podniosła wezgłowie,
I z węzełka wyjęła jakieś grosze wdowie
— Masz,—rzekła,... daję tobie w rękę dziec-
[ka duszę!...—

W tej chwili smutne dziecko otworzyło oczy,
Na twarzy jeszcze miało ze snu blask uroczy,
Na ustach uśmiech jakiś radości niewinnej,
I wyraz w jasnych oczach—od zwykłego inny!...

— Ojcze, rzekło, zwracając doń twarzyczkę
[bladą,
Czy naprawdę dziś do nas liczni goście zjadą?...
Gdzieś podział złoty pieniądz, coś mi do rąk
[dawał...
I strój kapiący złotem, jak maski w karnawał?...
I rumiane jabłuszko, któreś mi darował

Do zabawy... Mój ojcze gdzieś to jabłko scho-
[wał?...
Daj mi ten złoty pieniądz... ten strój... lub—
[mój miły,
Schowaj wszystko napotem... a daj mi jabłusz-
[ko...
Bawić się nie chcę... zjem je... bo mi braknie
[siły!...—
I rączęta spragnione wyciągnął przed łóżko...

Na chwilę, rozbudzona żądzą i marzeniem
Powróciła mu krasa lica z ócz płomieniem;
Pod zsuniętą koszulką wychudzone ciało
Dreszczem żywej nadziei gwałtownie zadrżało;
Klęknął z gestem błagania na pościeli słomie
I usteczka spieczone odwilżył łakomie...
Kobieta przez łzy gęste i przez łkania tamę
Spytała,—nad tą głową schylając się miłą,—
— Gdzieś to widział?...
— Gdzieś?... We śnie... Teraz mi się śniło!...
I spojrzała na męża—miał na twarzy plamę
Z rumieńca;—oczy jakby mgłami zadymione,
Martwe,—jakby je, w siebie patrząc, obró-
[cił;...

Nie znać było co myślał... cierpiał... czy się
[smucił...
Nagle zerwał się hyżym skokiem i posunął,
Jak lunatyk szeptając:—sen... dostatki... zło-
[to!...
Jabłko... to jest czterdzieści trzy!...—i we drzwi
[runął...
I za progiem skrzypnęło zamarźnięte błoto...

II.

Późną nocą ktoś skradał się pod drzwi lepian-
[ki,—
Popróbował... pchnął mocniej,—a ciężko od-
[dychał,
I lękliwie szedł, jakby z północnej hulanki...
Wszedł i sprzęty ostrożnie rękami odpychał...
Księżyc świecił. Jak we dnie było w izbie bia-
[ło...
Człowiek przystąpił w łożko patrząjąc nie-
[śmiało,
Schylił się... drgnął... znów stanął i nachylił
[ucho...

Odskoczył i wraz całem skoczył naprzód cia-
[łem...
— Żono!—zawołał z krzykiem—przebacz mi...
[przegrałem!...—
I słuchał... Cisza była głęboka... ni słowa,...
Tylko z dworu jęczała wietrzna noc zimowa...
Zatrząsł się i pieszczenie szepnął:
— „Chcesz mnie skarać?!...
Słusznie... lecz przebacz... odtąd już się będę
[starać...
Wrócę do pracy... szał mój rzucę!... Czar już
[pęknął...
Chleba nie mam... lecz jutro... przemów!...—
Nagle jęknął
Głosem straszniejszym, niżli ludzka na to mowa;
Prawdy jasność zalśniła przed nim piorunowa,
I wszystko razem zgasło... A pod owym cieniem
Oczy jego obłędu zabłysły płomieniem,
Rzucił się... porwał żonę ramieniem zuchwałem,
I trzęsąc nią zaryczał ze łkaniem:
— Przegrałem!...—
I znowu chwycił dziecię i straszniej zakrzyczał
— Przegrałem!...—
Odjął ręce i dwa ciała boże

Bez szelestu się sztywnie zsunęły na łoże...
Postał chwilkę,—a po tem wzrok mu bólem
[zdziczał,
Przeszedł smugę miesięczną ze spokojnym sza-
[łem,
I wyszedł, powtarzając chrapliwie:
— Przegrałem!...

III.

Często w ciemną noc słyszą mieszkańce strwo-
[żeni
Jak po ulic samotnych ehowej przestrzeni,—
Między domów murami,—rozbija się dziki,
Niby śpiew.. niby skarga,—straszniejsza nad
[krzyki,
Monotonny... w natury uciszeniu całem
Bezsenny głos szaleńca:
— „Przegrałem!... przegrałem!“...—

SUKNIA BALOWA.

I.

Przedmieście wązkie było natłoczone
Dom się do domu tulił przyjacielsko,
Latarnie we mgle błyskały czerwone
Czasem fabryka swe ogromne cielsko
Po nad ścieśnione wychyliła dachy
I nad kościółkiem błyszczał krzyżyk z blachy.

Po nad przedmieściem zwisła noc zimowa
Noc wyiskrzona odblaskami śniegu...
W powietrzu cisza — martwa i surowa
Jakby zmrożony świat przystanął w biegu;
Jak gdyby tego zakąteczka cała
Ludność, dotknięta czarem, skamieniała.

Lecz uchu bystrzej tonącemu w ciszę,
Życie tętniące schwycić można było,
Gdzieś tam huknęli żwawi towarzysze,

Z ciemności gardło pijane zawyło,
A nadtem wszystkiem, jak na podniesienie
Organu nizkie, monotonne drżenie —
Szumiało w kurzu skąpane i dymie,
Wielkiego miasta dyszenie olbrzymie.

[O, złudny, nocny wielkich miast spokoju!
Ktoby ci wierzył — głuchąby miał duszę...
Ileż jest w tobie ukrytego boju!
Jakie bez jęku wrą w tobie katusze!
Jakie rozpaczne odczuć można drgnięcia
W tym śnie spokojnym, niby sen dziecięcia!.]

Lecz teraz jeszcze miasto nie zasnęło,
Chociaż przedmieście znikło już na poły...
W mieście dziś książe bal daje wesoły,
Tysiące świateł przez okna błysnęło,
Pań tysiąc świetnych stroi się i krząta..
Na bal czas jeszcze — dopiero dziewiąta.

Ach! ileż rąk się zaciska kurczowo
Nad koronkami z pajęczych włókienek!..
Ileż pań pięknych, z rozpaloną głową,
Niedokończonych wygląda sukienek,

Po nad któremi, w pospiechu i męce,
Drżą pilnych szwaczek biedne, chude ręce!

I tu w przedmiejskim domku, przez okienko
Umalowane zimowemi kwiaty,
Widać, jak szwaczka nić wyciąga cienką...
Ma na kolanach szlak sukni bogatej;
Suknia to na bal... Na suknię hrabiny
W mroźnej izdebce spływa pot dziewczyny...

Oh! jakże śpieszno — a jak siły mało!..
A skończyć trzeba... na chleb i na drzewo...
Trza zebrać ciepło, co w ciele zostało
Trza przetrzeć oczy — i nad tą ulewą
Kwiatów, koronek — schylać głowę bacznie...
Choć serce bije słabo — a rozpacznie!..

Podlała lampę — i w kształt błyskawicy
Blask olśnił suknię i twarz robotnicy:
Wysmukłe było dziewczę — a schylone,
Pod własnym swoim schylone ciężarem;
Niebieskie oczy miała łzą zamglone,
Gorzące jakimś suchotniczym żarem;
Włosy związane z kokieterją smutną,

Usteczka blade — twarz białą, jak płótno...
Przed nią, szydersko błyskając — leżała
Suknia hrabiny — jedwabna i biała.

O! jakiż przepych świecił z tego cudu!..
Zaledwie jeszcze kilkadziesiąt ściegów.
Hrabina przejdzie wśród gości szeregów,
Niby królowa przez tłum swego ludu...
A jakiż będzie mieć urok wspaniały,
Różowa cała — w sukni takiej białej!

I robotnica aż złożyła dłonie,
Na własnej swojej ręki patrząc dzieło...
Kwiatów bez miary dół sukni upięło,
W drogich koronkach każdy brzeżek tonie;
Jedwab' przelewa się mięciuchną falą;
W pasku się perły dwie łagodnie palą...

I robotnica aż złożyła ręce,
Patrząc na własne dzieło upojona...
I zapomniała wtedy o swej męce,
O tchu, co w piersiach zrywa się i kona;
O tem, że jeszcze nie jadła od rana,
Że mróz przy piecu wypił wodę z dzbana,

Że przyszłość czarna... jakie jej ognisko...
Że dach nad głową nizki i pochyły,
Że wiatr przewiewa — jak tchnienie mogiły...
Że Bóg daleko... a nędza tak blizko...
Tylko tuliła jedwabie do łona —
Dziko, — kobieco tej sukni spragniona.

Któż zbadał wszystkie serc ludzkich tajniki,
Wszystkie stłumione tej młodości krzyki,
Wszystkie pragnienia, jak morze w przypływie,
Wzniosły się w duszy złamanej dziewczyny...
Prawa do szczęścia — raz pierwszy, jedyny,
Powstały buntem w piersi pół umarłej,
Wstrząsnęły myślą potężnie i chciwie —
I wielkiem „Pragnę” z duszy się wydarły.

Z modlitwą niemą, wzniosła wzrok w niebiosy,
Balową suknię trzymając z pieszczotą...
Między dachami — gwiazda z twarzą złotą
Na szmatku nieba rozpuściła włosy...
Śnieg kradł brylanty jej śnieżnym warkoczom,
Ona się śmiała robotnicy oczom.

I przyszła szwaczce na myśl powieść rzewna,
Na wieczornicy kiedyś zasłyszana:

Że z takiej gwiazdy wróżba zawsze pewna
I prośba do niej zawsze wysłuchana, —
Jeśli na prośby lub życzenia słowo,
Spadnie z błękitów smugą brylantową...

Tak brzmiała baśń... a lud baśniom wierzy,
Bo wszelka wiara — balsamem na rany...
Więc wzrok dziewczyny, cały zwierciadlany,
Po drodze mlecznej do tej gwiazdy bieży:
Nad nią się schyla — i ustami ducha
Pierwsze życzenie szepcze jej do ucha:
„Szwaczka chce na bal pójść w tej sukni białej."

Już powiedziała gwieździe — i wisząca
U jej promienia — odpowiedzi czeka;
A myśl jej, bardziej niźli światło lekka,
Skrzydlata bardziej — zwątpienie odtrąca,
Wyprzedza wyrok, w suknię ją obleka
I sen balowy daje jej wspaniały.

Harmonii potok niesie ją po sali,
Rozkosznie na niej drogi strój szeleszcze...
Zewsząd się leją pochwał wonne deszcze;
Krew tętni w uszach, krew w żyłach się pali,
Pierś się rozszerza i życie się dwoi!...

Wiatr ją rozbudził zawywszy pokutnie,
Spojrzała w niebo: — gwiazda stoi smutnie...
Nie!.. na bal suknia ta ją nie ustroi!

Lecz siła żądzy jest dziwnie uparta,
Gdy się raz zdoła do serca przecisnąć...
Szwaczka znów idzie na gwieździe zawisnąć,
Twarz jej rumieni się, jak biała karta
W gockim misselu pod malarza ręką...
„Szwaczka do ślubu chce iść z tą sukienką."

Ślub!!. O! czarowne słowo — i przyćmione,
Jak lampa w głębi dziewiczej alkowy!..
Marzenia, nigdy nie wydane słowy,
Z serca najczulsze, a ze krwi — szalone,
Ubogi człowiek, jak ona, przy boku,
Z silnym rumieńcem a poczciwą twarzą,
Organów głosy... szmery w ludzi tłoku...
Światło i kwiaty... kumoszki co gwarzą
Na pół rubasznie, a na poły rzewnie...
Wiosenno!.. Boże!.. Ach! jak w sercu śpiewnie!..

Tu ją otrzeźwił wrzask ulicznej kłótni,
Zaledwie oczy podnieść się odważa...
Spojrzała w niebo: gwiazda stoi smutniej...
Nie! jej w tej sukni nie iść do ołtarza!

Spoczęła chwilę i przymknęła oczy,
Po tem je bladym uśmiechem rozwarła —
I znowu myślą na niebo się wdarła
I uwisnęła u gwiazdy uroczej...
Ostatni raz już prosić ma ją prawo,
Ostatni raz prosić — niełaskawą!..
Drży o tę prośbę... oh! bo chce koniecznie
Posiąść tę suknię — posiąść choć na chwilę!..
Pierwszy raz może prosiła niegrzecznie,
Drugi raz, może prosiła niemile, —
Więc teraz błaga słodko i nieśmiało:
„Chcę iść do trumny z tą sukienką białą."

Oh! tu odmowy jużby nie przeniosła,
Więc całą siłę zbiera wraz i ściska...
Z ciała krew cała, niby do ogniska,
Do bijącego serca się przeniosła, —
Żar tylko życia pozostał w jej oczach,
Co zwisły chciwie na gwiazdy warkoczach.

W powietrzu cisza zrobiła się cichsza,
Błękit się ściemnił do nieba ostatków...
Jakby ta szwaczka, ze stworzeń najlichsza,
Miała dokoła współczujących świadków,

Jak gdyby również serce ich czekało:
Co to się stanie z tą sukienką białą?..

A gwiazda, jakby zaklęciem ciągniona,
Drgała i trzęsła się u niebios łona...
Jakby przeznaczeń chciała przejrzeć słowo,
Chwiała ponuro promienistą głową...
Uczucie miała bezdenne w źrenicy,
I tak patrzała w oczy robotnicy,
Że te, wciąż słabiej łamiąc blask rozpierzchły,
Od wytężenia martwiały i mierzchły..

Naraz się błękit splamił srebrną smugą
I niebo w głębszą ciemność się okryło,—
A z piersi szwaczki, hamowany długo,
Krzyk się radości wyrwał z wielką siłą,
Wzrósł spazmatycznie, drgnął i pęknął z jękiem
A lecąc, światłem zdawał się, nie dźwiękiem,
Tak, iż byś przysiągł, że w nagłym przelocie,
Dwa się minęły blaski, całe w złocie,
Jeden spadł z nieba – wróżbą ziemskim losom,
Drugi—z ust szwaczki, pomknął ku niebiosom.
I cisza... Tylko u sąsiada — grajka
W skrzypcach jęk szwaczki zawibrował smutny,

Najprzód miał dźwięki potężne i ostre...
Po tem wciąż cichszy... większy... i pokutny...

Choć mędrzec powie, że to tylko bajka,
Ja więcej prosty odeń, mniej okrutny, —
Za szwaczkę zmówię „Zdrowaś" jak za siostrę...

II.

Głucho zatętniał powóz po przed domem,
Po wschodach idzie ktoś z trzaskiem i ło-
— Więc tutaj mieszka?... [mem,
— Tutaj, jaśnie pani!
— Okropność! jeszcze bal mój stracę dla niej!
Baptysto! rękę!... Tu poręczy niema!...
Jak chodzą tędy?
— Przy ścianie się trzyma
Każdy jak może.
— Lecz po ścianie ciecze!..
Ach! krawcze! krawcze, szkaradny człowiecze!
Zapłacisz mi to! Jechać tu? Drżę cała...
Lecz bym u niego czekać nie zdołała
Dłużej...
— Na lewo
— To tu, jaśnie pani!

Drzwi otwrzono. Na zczerniałym progu
Stała hrabina, a za nią odźwierna,
A w głębi lokaj, cały w złoto kuty..

Ach! jaka przepaść leżała niezmierna
Między tą norą nędzy i pokuty,
Której przyczyna znana tylko Bogu —
A wielką panią — o twarzy lilijowej! ..

Izdebkę ledwo płomień purpurowy,
Mrący — oświecał... Pani zadziwiona
Krok postąpiła — stanęła... zadrżała...
Szepnęła cicho:
— Suknia nie skończona!...
I drżąc, paluszek wyciągnęła biały,
Jak istny posąg „zgrozy“ skamieniałej!...

Tam... w głębi... ziemię zamiatając włosem,
Z bledziutką twarzą—na twarzy z uśmiechem...
Jakby zwycięztwo odniosła nad losem,
Jakby poiła się muzyki echem,
Dawno żądanej... już nie oddalonej: —
Upadła szwaczka na ziemi posłanie,
Na białej sukni twardo dłoń oparła,
Biorąc ją w imię śmierci w posiadanie.

Hrabinę zbudził wielki krzyk:
— Umarła!
Joanno święta! Boże! co za troska!..
Komisarz! sądy!... Jezu! Matko Boska!...

Skinieniem ciszę nakazała pani —
I postąpiła naprzód gorączkowo...
Spojrzała trwożnie w tę izbę grobową;
Na kawał chleba, zmarznięty jak skała,
Z giestem niemego pytania wskazała;
Dotknęła pieca i cofnęła rękę,
Mrozem sparzona — i z okiem nieśmiałem
Nad robotnicy schyliła się ciałem.

Jaka to była tajemna rozmowa
Tej wielkiej pani, z tym trupem bez słowa?
Anieli w niebie wiedzą tylko sami...
Lecz tej kobiety, wyniosłej i świetnej,
Profil, jak marmur chłodny lecz szlachetny;
O czarnem oku, błyszczącem surowo,
O purpurowych ustach, które pycha
Pełnym hardości pędzlem malowała —
Kłonił się niżej wciąż nad szwaczki głową...
Dotknięciem swojem miękkiem, rzewność cicha
Lody w tem dumnem sercu roztapiała —

I przepędziła w te oczy dostojne
Dwie łzy, królewskie, ciężkie, — dwie łzy hoj-
I zrozumiala w tej chwili — bez słowa, [ne!
Tę robotnicę biedną — ta królowa!...

Powstała pani z ziemi i skinęła,
Usta jej skrytem poruszeniem drżały...
Przy drzwiach zwróciła jeszcze głowę i szep-
Świadkom: [nęła:
— Pochować ją w tej sukni białej!

III.

Ciężko się toczył ku rogatek stronie
Czarny karawan — na nim trumna biała
Z głuchem stukaniem w takt się pochylała,
Na trumnie wieniec z kwiatów „cnocie w dani,"
Odbijał jasno liśćmi wilgotnemi
Od białej sukni co wybiegłszy z trumny,
W hojnych draperjach spływała ku ziemi...
Wśród garstki biednych — dwa rasowe konie
Dźwigały panią, co wznosiła ręce
Do twarzy łzami zlanej, chłodnej, dumnej...
A zdala idąc, lud dziwił się tłumny
Łzom wielkiej pani i szwaczki sukience.

PRZED OKNEM BANKIERA.

Miasto! nędza z ciemnotą
Straszną groźbą dla ciebie!
To zakalec w twym chlebie,
Rdza co zjada twe złoto,
Czerw, co toczy twe domy,
Grom—wśród twojej pogody,
Gość, co kiedyś kryjomy
Przyjdzie zmącić twe gody;
Noc co czycha za drzwiami,
Miecz, co wisi nad głową,
Pod twojemi stopami
Wulkan z paszcą ogniową,
Głos, co w ciszy urąga
I odgraża się srogo,
Ręka, co się wyciąga
Baltazarom z przestrogą!

Miasto! jeśliś nie w sile
Tę noc w światło przemienić,
Te wulkany zadmuchać,
Tę rdzę złota wyplenić,
Ten grom drżący zażegnać
Krwawej wziąć cię mogile;
Tego gościa odegnać,
I tej ręki posłuchać;
Miasto! lwa ty nie draźnij!
Wśród groźnego milczenia,
Nie mnóż wrogów nasienia,
Nie przybliżaj swej kaźni!
Klnę cię w imię Miłości.
Klnę cię w imię Bojaźni!
Chowaj zbytek i złoto
Przed oczyma chciwości;
Nie kuś nędzy z ciemnotą!
. . . .

Mimo żaru i krzyku,
Pod słoneczną pogodą,
Na wrzawliwym chodniku
Ani widać nikogo;
W jakiejś kurcie obdartej,
Z piersią nagą, schudzoną—

Stał wciąż człowiek oparty
O barjerę złoconą...

Za baryjerą błyszczało
Wielkie okna zwierciadło,
Odbijając—to ciało
Tę twarz dziwnie wybladłą,
Oczy, w których schowany
Tlił błysk cierpień i szału,
I te smutne łachmany
W swoim łonie z kryształu.

Szedł tłum gwarno i szumno,
Wśród wyścigów do chleba;
Nie zmrużając swych powiek,
Jakby martwą kolumną
Był tajemny ten człowiek,
Którą minąć potrzeba;
Lub przydrożnym kamieniem
Dobrze znanym zdaleka,
Który stał tu od wieka
I zrósł z tłumu spojrzeniem.

A nikt myślą nie spytał
Czemu patrzy w to okno?

Jakich marzeń po głowie
Tej przesuwa się włókno?
Czemu mocniej pobladnął?
Czemu zębem zazgrzytał,
Mruknął, urwał w pół słowie?
Nikt nie pytał... bo zgadnął.

Przed tym oknem od dawna
Iluż takich już stało,
Z martwym okiem i słuchem?...
Ileż myśli tu wziętych
Przystroiło się w ciało,
I brzękało łańcuchem,
Idąc tędy, jak mara,
Z krain wiecznie przeklętych?...

Rzecz wcale nie zabawna,
I historyja to stara!
Więc mijali spokojnie
Dobrzy ludzie tę postać;
Jeden tylko chciał zostać,
I przypatrzeć się wojnie,
Którą ciemne sumienie
Z pokuszeniem tu wiodło;

3

I zobaczyć jak źródło
Zasilają strumienie,
Jak z tych oczu przyćmionych
Do tej szyby kryształnej
Bije promień zapalny
Żądz i marzeń szalonych!

Za tym oknem, za kratą,
Z twardych ogniw stalową,
Rozłożyli kramarze
Swą przynętę bogatą.

Więcej, niżli wyśnili
W snów gorączce Łazarze,
Więcej niźli naiwna
Baśń utworzyć się sili,
Niż ogarnie wybladła
Żądza w ręce swe drżące,
Rzeczywistość tu kładła,
Jak baśń bujna i dziwna
A prawdziwa—jak słońce.

I przed skarbów tych blaskiem,
Jak przed światłem piorunu,

Jak nietoperz przed blaskiem
Zmrużył oczy ten człowiek;
Potem cicho wyjrzała
Dusza jego z pod powiek,
Jak letargnik z całunu,
Senna jeszcze, drżąc cała.

I wraz! w świetle jaskrawym
Błyskawicy tej żywej,
To co było snem tylko,
Odtąd stało się jawem.
Cała ciemność tej duszy
Zapłonęła czerwono;
Wszystkie tajne porywy,
Które warczą przed prawem,
Nieświadome przed chwilką,
Wstały z wrzawą szaloną.

To, co z głodu katuszy
Z rad się czarnych wykłuło,
Krzywda która zapadła
W pamięć dotąd nieczułą;
Wczoraj jeszcze bezwiedna
Przepaść myśli—bezedna,

Prąd bez tamy i wiosła,
Sfora pragnień zajadła,
Wczoraj jeszcze bez głosu,
Dziś, z ciemności chaosu
Pełnoletnia wyrosła!

Ach! z tą straszną nawałą,
Któż do walki się stawi;
Na tej twarzy się jawi
Jakiś promień nieśmiało!
Któryż będzie to z głosów?
Może słowo pacierza
W jego duszę uderza?
Może bojaźń niebiosów
Kreśli obraz kar srogi?
Może wyraz przestrogi,
W księdze świętej zawarty,
Albo słodko nań w ciszy
Znany matki głos woła,
Lub wstyd, mrący w swej dumie?

Nie, on matki nie słyszy,
Wzrósł jak w polu krzak ostu,
Nie, by wejść do kościoła

Był zbyt zawsze obdarty.
Nie—on czytać nie umie...
. . . .
Zląkł się kajdan i postu!

Zląkł się, odszedł na chwilę,
Lecz ma duszę schwytaną;
Jutro przyjdzie znów rano
Spadnie więcej na sile;
W noc go będzie łamała
Moc pokusy bezbożna,
A po jutrze nie wróci...
. . . .
Wiem gdzie znaleść go można!



BEZ ŚLUBU.

Poznali się, gdzie się poznali
Nie pomnę już: w Ogrodzie Saskim
Czy też w tanecznej jakiejś sali.
Piękności jej rażony blaskiem,
Już nie dał samej jej pójść dalej,
Wzrok jego przed nią wciąż się pali
Jak lampa świetna przed obrazkiem:
Poznali się i pokochali.

Oboje byli bardzo biedni,
Oboje byli bardzo młodzi.
Nie słucha młodość starych bredni;
Nędza tak chętnie w parze chodzi,
By wiedzieć, że tak — nie uchodzi:
Oboje byli nazbyt biedni!

Prawda, z początku w ludzkim szmerze,
Złowróżbny głos się do niej niesie;

„Skowronek pierwszy całus niesie:
Przy pierwszych kwiatkach kocha szczerze;
A pierwsze wiśnie daje w lesie...
Co rano pieszczoch sam ubierze...
W jesieni... nić pajęcza rwie się:
I tak się rzuca jak się bierze!!.”

Lecz miłość zawsze jednakowa;
W pałacach świetnych czy na strychu,
Zarówno słodkie szepce słowa,
Przysięga głośno i pocichu;
Toż samo wino wre w kielichu:
Oprawa złota czy cynowa;
O jutrze nigdy ani słychu:
O, miłość zawsze jednakowa!

Bez jutra żyli. Jutroż po co?
Co wieczór ptaków gwar w alei;
Co rano zorze okna złocą
Blaskami szczęścia i nadziei;
I tak się życie samo klei:
Już nie samotnie, nie sieroco.
Któż w lecie lęka się zawiei?
Bez jutra żyli. Jutroż po co?

A jednak przyszły dni niecnoty,
Czarniejsze od jej włosów czarnych,
Zawady przyszły i zgryzoty
I rój drobnostek życia marnych;
Lecz nie ma bardziej serc ofiarnych,
Jak mają biedne te istoty —
Nieznane kwiaty grodów gwarnych,
Gdy przyjdą czarne dni niecnoty.

Toż w ciężkich owych dni początek,
Jej uśmiech musiał zakląć burzę;
Zażegnać gniewem jego wrzątek,
I wstrzymać piorun jeszcze w chmurze;
Prawda, że czasem dwie łzy duże
Zaniosła cicho w izby kątek,
Lub też na białą w oknie różę:
Lecz znieść umiała ten początek.

Lecz biedy lubią iść w gromadzie,
Tak jak szarańcza wałem lecą!
A jemu oczy żarem świecą
Nieraz w sztraszliwym chwil napadzie
I boleść swoję na nią kładzie.
Sąsiedzi bawią się tą hecą,

Gdy biedy poczną iść w gromadzie
A tej dziewczynie ciężej nieco!...

Aż przyszedł wreszcie cios maczugi:
Choroba kładzie go na łoże!..
— To ospa! Ospa!.. wielki Boże!..
Szczebiocą drużki, jak papugi;
A ona służy mu w pokorze
I tak szczęśliwa z tej posługi
Że prawie, (przebacz, dobry Boże!)
Cios błogosławi tej maczugi.

Jak Jakób przez dni trzy z Aniołem,
Ze śmiercią walczy istność młoda...
I nie wie, kto mu wody poda,
Łagodząc szał pod jego czołem:
I nie wie, czyja to uroda
I nim się do grobu chyli społem;
Z czyich modłów to przeszkoda
Przed śmierci broni go Aniołem...

Ach długie noce — bez snu noce!..
Za lampką chwiejną, wzrok się chwieje,
Raz jej się zdaje, że on mdleje?..
W śmiertelnej tonie z nim pomroce,

Drży nad nim, płacze lub się śmieje,
W nadziei, w bólu się szamoce...,
Na wschodzie złoto! Cóż że dnieje?..
Ach długie noce!.. bez snu noce!

Ciemnościom wreszcie go wydziera!..
Lecz mściwy anioł ją przenika.
I kiedy oczy on otwiera,
Niemoc źrenice jej zamyka;
Aż wreszcie ręka losu dzika
Nad niemi klątwę swą rozdziera:
Obojgu błyska nowa era:
I ona życie znów spotyka.

Lecz któż wie — czemu błogosławić,
A co kląć trzeba na tej ziemi!!.
Już ona nie chce w łóżku bawić
Ale krokami chwiejącemi,
Z radością co w niej siły plemi
Przed jego twarz się śpieszy stawić:
Lecz któż wie, czemu błogosławić:
A co kląć trzeba na tej ziemi!...

Niecały księżyc swiecił blado
I w izbie na pół ciemno było,

Och, z jakąż go schwyciła siłą,
Wywalczonego śmierci — zdradą.
Jej oko przejąć by go rado,
I cały żar swój wysiliło:
Niecały księżyc świecił blado
I w izbie na pół ciemno było.

A przecież jednym oka błyskiem
Całą twarz jego, postać całą
Objęła naraz, jak uściskiem,
W którym miłości niebo drżało!
Ach jak jej serce się krajało
Nad smutnych śladów widowiskiem;
Całe to drogie biedne ciało
Objęła okiem, jak uściskiem..

I naraz długo tamowane,
Odpowiadania, zapytania
Wybuchły z piersi jej, jak łkania,
Niedokończone i urwane!...
Modlitwę cichy jęk przegania,
Łzy ze śmiechem pomięszane,
Biją, jak ciepła krew przez ranę,
Do nóg się jego z krzykiem słania!..

A on? Bez ruchu stał w milczeniu
I chmurnym okiem na nią rzucił...
W księżyca widząc ją promieniu,
Spojrzał i... z wstrętem się odwrócił!—
W ogrodzie kiędyś słowik nucił
W pierwszym wiosennych krzaków cie-
Mignęły gwiazdy na sklepieniu [niu,
I blask mocniejszy księżyc rzucił...

A ona klęcząc, chwilkę drżała,
Patrząc na niego osłupiona,
Potym schyliła w dół ramiona,
Jakby szalała i pytała:
Lecz nagle dziko drgnęła cała
I z wielkim krzykiem z głębi łona
Ku bliskiej ścianie się porwała:

— O kraso wdzięczna! jakżeś marna!
O róże lica, jak wy wiotkie!
Źrenico czarna, jak noc czarna,
Zagasną czary twoje słodkie!..
Nie słychać, jak czerw' w głębi ziarna
Nuci zniszczenia wieczną zwrotkę!
O! kraso wdzięczna jakżeś marna!
O róże lica, jak wy wiotkie!

— „Skowronek pierwszy całus niesie...
Ach, z pierwszym kwiatkiem kocha
A pierwsze wiśnie daje w lesie, [szczerze!
Co rano, pieszczoch, sam ubierze...
W jesieni... nić pajęcza rwie się:
I tak się rzuca... jak się bierze."

Tak myśląc stała zapatrzona
W lodowo-lśniącą toń zwierciadła,
I coraz bardziej, bardziej bladła,
Jakoby lodem tym zmrożona;
I czuła tylko, że cóś kona,
W cichutkich drganiach wśród jej łona;
Bo wszystko na raz już odgadła!..

Więc odwróciła twarz łagodną.
Chowając wewnątrz straszną mękę;
I kładąc białą, chudą rękę
Na jego rękę — dziwnie chłodną;
— Bądź zdrów! — wyrzekła słowa
[miękkie...
. . . .
Na wschodach słysząc jej sukienkę,
Czuł, że popełnił rzecz niegodną!..

I drgnął — i wahał się — i ruszył,
I cofnął znowu... i znów skoczył,
Znów stanął; cały się zamroczył
I łzę, — podobno łzę osuszył,
I targnął jak człek co się dusi,
Chustkę na szyi... puścił luźniej,
I upadł, mrucząc: — Tak być musi!..
Bah! Taka brzydka... Prędzej... później..

A białą suknią wiatr obrócił
Ku ciemnych ulic połączeniu,
I bratnie echo gdzieś ocucił
Jej niepewnego kroku brzmieniu;
W ogrodzie słowik kędyś nucił
W pierwszym wiosennych krzaków cie-
Mignęły gwiazdy na sklepieniu, [niu,
I blask mocniejszy księżyc rzucił.

CIEKAWSKA.

Pełno woni w ogrodzie!...
 A! to kwiatki tak wonią.
Dzwoni piosnka w drzew chłodzie.
To czyżyki tak dzwonią!
Ot tam dom nasz... nie?!... może.
Ot tam ścieżki jest załam;
Już słyszałam, widziałam,
Ach, mój Boże, mój Boże!
 Dziadek siedzi na ganku
 Mamcia brząka kluczami,
 Kasia spieszy krzakami,
 Niosąc wodę we dzbanku;
 Ktoś się skrada pod ścianę:
 Z mlekiem... tak, jak co rano...
 Wczoraj mleko wylałam...
 Ach mój Boże, mój Boże!
 Już widziałam, słyszałam...

Cicho; cicho... coś puka...
Jakiś hałas u stryja...
Et, i zgadnąć nie sztuka:
Stryjek w ścianę gwóźdź wbija,
Codzień sztuka w tej porze,
Nawet go się pytałam...
Ach mój Boże, mój Boże!
Już widziałam, słyszałam...
Wiecznie jedno, to samo;
Namęczyłam się z mamą,
Zanim wreszcie mi dała
Do spiżarni pójść z sobą;
Ach jakżebym ja chciała
Być już wielką osobą,
I wyjść rankiem czy nocą...
Elementarz już czytam,
I znam czarno na białym
Co zobaczę, zapytam;
Cóż, gdy w domu już całym,
Nie ma pytać się o co...
Chodzę ciągle i chodzę
Z kąta w kątek najskrytszy;
Oglądam się po drodze
I wciąż wołam: dla czego?

Lecz nic nie ma nowego,
Chyba że Jan wciąż brzydszy.
Wczoraj zmilczał choć wiedział,
Na co kupił dwie klatki?
Wyszłam z łóżka choć bosa,
I pobiegłam do tatki,
A tatuńcio powiedział:
—Na papugę i kosa—
    Czekałam tej papugi!...
    Ptak zwyczajnie jak drugi:
    Żółty—straszne mi rzeczy
    Niby żaba wciąż skrzeczy;
    A kos—także uczony!...
Najprzód milczał jak ninia,
Teraz gwiżdże te tony,
Co harmonijum dziadunia...
Ach! chyba się rozpłaczę
Sama niewiem dlaczego...
Kiedyż ja co nowego,
Ach! nowego zobaczę?!
    Parkan bardzo wysoki!...
    Mama łazić zabrania.
    Raz pytałam się Frania,
    Cóż tam widzi?—Obłoki...

Zuch! „Obłoki”—powiada—
Ale jakie obłoki?!
Ach, jakżebym wejść rada!
Kiedy taki wysoki...
Zajrzę, może gdzie szparka...
Coś tam brzmi jak fujarka—
Żebyż szpara, lub dziurka!
A! posłuszna ja córka...
Mama łazić nie każe!
Przecież jeszcze nie włażę,
Jeszcze mi kto przeszkodzi...
Stąpię nogą na sęka:
Może wierzchu dostanę...
Aj! aj! ręce zdrapane!...
I daremna to męka.
Stanęłabym na ławie,
Lecz za ciężka—z kamienia;
Chyba... koszyk podstawię
Koszyk pełen nasienia...
Cóż wielkiego?—wysypię,
Potem zbiorę do ziarnka...
Żebyż szpara, choć szparka!
Ach, aż w oczy mię szczypie,
Takbym spojrzeć się chciała!
Lecz wciąż jestem za mała...

Wyciągnijmyż się troszkę,
Troszkę, troszkę już ino;
Oj, oj! starłam znów nóżkę
I krwi krople z niej płyną...
Już nie mogę! zejść wolę
Z wytężenia drżą łokcie!...
Jakiż płot ten wysoki!
Nuż! stańmy na paznogcie—
Hurra!! wzięłam płot mocą!
Co!... obłoki?! Co! pole?!
. . . .
Byłoż drapać się po co!...



WIGILIA SAMOTNYCH.

p. J. O. autor poświęca.

Nie prawdaż, wspólnie ze mną czujesz urok tajny,
W tem święcie wigiljowem cichem i skupionem?
I twojem też poezya wiary wstrzęła łonem,
I tobie ten dzień zwykły — zda się niezwyczajny?

Z dziecięcych naszych wspomnień najmilsze, najcich-
Najmocniej ozłocone fantzyi czarami, [sze,
Jest to drzewo gwiazdkowe — zwiędniałe za nami,
I to echo kolendy, bo drży w Grudnia wichrze.

Z wigiljowego stołu zeschłe siano,
Pochyla na kolana wiedzę naszą dumną,
Pachnie dla nas jak mirra pobożnego króla,
I wiecznie betlejemska gwiazda nas rozczula.

O bo ta gwiazda wiedzie, zdaleka i z bliska,
Jako niegdyś do żłobka pastuszków i króle,
Rozproszone po świecie iskry — do ogniska,
I napełnia pszczół gwarem macierzyste ule.
W ten wieczór, po nad mężem, co los światów waży,
I po nad głową mędrca myślą ociężałą,

I nad zawianą śniegiem lepianką nędzarzy—
Ten sam anioł przelata, wiejąc szatą białą;
I szepce w ucho męża, ojca, w serce syna,
Martwe nieraz rok cały słóweczko: Rodzina!

O jakimż srebnym dźwiękiem na serce ci spada,
To słowo magicznego wiljowego hasła!
Sciana twojego domu drogą wrzawą gada,
Lśni blaskiem żywym matki źrenica przygasła,
Oglądasz znowu zmarszczki ojcowskiego czoła,
Prostuje się przed tobą postać jego krzepka,
A rzesza braci twoich i twych siostr wesoła
Rozdźwięcza rdzeń sędziwy dębowego stoła,
Co stoi, kędy niegdyś stała twa kolebka!
Błogosławieństwo wierze, co zna serce ludzi!
Błogosławieństwo ludziom, co swój cel pojęli,
Co się w jarzmo rodzinne chętnie wprzęgli—wolni,
Biada tym, którzy żadnej rodziny nie mieli
Albo ją utracili—lub jej mieć niezdolni:
Srogiego sępa święto to w ich piersiach zbudzi!

* *
*

Znasz wieczór wigiljowy w mieście. Mrok zapada,
Całodzienny gwar ulic urasta w potęgę;
Jak gdyby krzątająca się ludzka gromada
Spieszyła zamknąć życia powszechnego księgę.
Korytem ulic płyną, czarne tłumu rzeki,
Cel ich wspólny i miły;—bliski—czy daleki.
Z biór zgięci pracownicy i przybysz spóźniony,
Skrzypią spiesznemy stopy po zmarzniętym śniegu;

A każda z tych fal rzeźwo przybija do brzegu:
Z piersi zwykle milczącej,—słychać piosnki tony,
Ciężki krok robotnika oddźwięka w przestrzeniach,
Aż zniknął krok i piosnka—po bramach i sieniach,
Coraz ciszej...
Wystawy światłem jaśniejące
Gasną jedna po drugiej. Słychać rygłów szczęki,
I zgrzyt żelaznej szruby cd sztaby sklepowej,
Milknie w zaułkach echo hulaszczej piosenki.
I tony katarynki nosowe i drżące.

Coraz mroczniej.
Cień nocy zniża się surowy.
Czasem jeszcze dalekiem echem zaturkota
Dorożka zapóżniona; śnieg skrzypnie w oddali,
Ognik w gospodzie spojrzy blado, jak sierota;
I ciemno, cicho, pusto na chodniku dźwięcznym,
Tylko latarni oko złociste się pali,
Urągając ukrytym promieniom miesięcznym,
I plamiąc smugą cienia białą śniegu szatę;
Tylko szeleszczą wiatru oddechy; skrzydlate,
Nad z olbrzymioną mrokiem, wieżyce kościoła,
I daleka straż wzajem przeciągle się woła.

Lecz wsłuchaj się w tę pustkę,—jakżeż pełna ona!
Każdy dom, jak mrowiska ludność rozbudzona,
Jak gaj o zachodzie, jak ul na wyroju,
Jak motyle pstre pułki, o skrzydełkach z tęczy,
Jak muzyka podziemna cudownego stroju,—
Porusza się, szczebiocze, szeleści i dźwięczy!

Mury żyją i dyszą serdeczną uciechą,
Szyby jasne,—oczy pyłu pokryte zasłoną,
Jak źrenice radosne—jednakowo płoną,
A piwnic i salonu całuje się echo.

Ach, jestże takie gniazdko skrzywdzone nasrożej,
Albo strzecha, w zakątku tajnym—tak uboga,
W którejby dziś nie ścichło co boli, i trwoży
Gdzieby nie było w dniu tym opłatka i Boga!

Tu ciemno. Ale spojrzyj, w domach coraz jaśniej!
Tu cicho. Ale słuchaj, w domach coraz gwarniej!
Okrzyk co chwila, coraz nowy głos szczebiota;
Co chwila wyjrzy główka niemowlęcia złota,
Z okna i z wstrzymującą mateczką się waśni:
Na ten widok duchowie nikną z niebios czarni,
W kształty chmur ustrojeni;—błękit się rozlewa,
Coraz szerzej—jak wielkie jezioro wiszące
I wschódzi srebna gwiazdka—wigiljowe słońce!
Otchłanie szepcą:—Chryste! a ku niebu strzela
Z miljona piersi wielki dytyramb wesela!
I wszystko cichnie naraz. A w przestrzeniach słyszy,
Prosta dusza i hardy rodziny bluźnierca,
Święty szelest opłatka—łamanego w ciszy
I rosę błogosławieństw ściekającą w serca!

Zamilkną dna i szczyty. Aż czas uroczysty
Pęka niby zaklęcie i piersi odmyka:
I bucha naraz głosów zmięszanych muzyka,
Po nad którą góruje dziatwy krzyk srebrzysty;

I biją fortepianów naiwne kapele,
I nóżek trzepocących, bez taktu,—uciecha
I życzeń zamienianych słowa złotouste,
I szydzące z przyszłości, w twarz, hardo,—wesele,
I drżące jeszcze całe pocałunków echa.
Woń choiny, blask świateł—na ulice puste.

Czy puste? Możeś widział te postacie ciemne
Wychodzące pośpiesznie z tych radosnych domów,
Jak gdyby śmiech za niemi huczał głosem gromów,
Jak gdyby ich ścigały pogonie tajemne.
Czyś po śnieżnej zamieci śledził, przyjacielu,
Spojrzeniem i pytaniem te zagadki czarne,
Błądzące ulicami lękliwie,—bez celu,
Takie ciche—a tak wrzawą w sobie gwarne?

Uciekli oni z zimnych, samotnych poddaszy,
I bogatych pokojów milczących uciekli,
I za sobą kulawą tęsknicę powlekli,
A szukają gwiazd... bo ich ścian samotność straszy,
A zlękani—bo w siebie patrzeć się nie mogą,
A cisi—bo huragan w ich duszy się kręci,
A pędzą—bo ujść pragną myśli i pamięci,
A błądzą—bo na drodze nie mają nikogo!

Są to różne sieroty, ten kroki szybkiemi
Na cmentarz idzie łamać serce jak opłatek;
Ten nie ma ni umarłych, ni żywych na ziemi,
Ten—z dalekich ogrodów przesadzony kwiatek,—
Nikogo tu nie znalazł swej barwy i woni,

I myślą kraj rodzinny w mgle dalekiej goni;
Wszystkich sęp samotności w swoich szponach trzyma,
Mijają się—pytając błędnemi oczyma.
Po bladej twarzy poznasz młodego pjoniera,
Co nie zaczął budować jeszcze swego domu;
I tego poznasz także:—ach to dziecko sromu—
W ojcowskie może okna z bluźnierstwem spoziera!
Trzeciemu matka nędza—wydarszy go światu,—
Narzuciła przekleństwo srogie—celibatu;
O miasto! iluż takich w twych wnętrznościach wzdycha!

A ten mędrzec z gęstemi zmarszczkami u czoła—
Zapóźno do miłości chciał sięgnąć kielicha,
A temu śmierć zabrała,—po jednemu—cicha,
Ach, wszystkich biesiadników wiljowego stoła!

Więc biegną,—więc ujść pragną i domów widoku,
I wrzawy—co się zdaje z ich sieroctwa szydzić,
I blasku—coby dojrzał grube łzy w ich oku,
I szczęśliwych—których się boją znienawidzieć;
Od pracy porzuconej: bez siły i wiary,
Od straszliwej uczucia i rozumu kłótni,
Od echa ścian sąsiednich—od drzwi swoich szpary,
Zazdrośni—nienawistni—lub do śmierci smutni!
Czarna ziemia im stołem,—obrusem śnieg biały,
Pamięć lampą ślepiącą—mary ucztę dzielą,
Pokarmem życia wątek—myślą zżuty cały,
Napojem łzy;—wiatr ostry szyderczą kapelą,
Pragnienie śmierci—hucznem odgłosem wiwatów,
Opłatkiem chyba księżyc—biała hostja światów.

Tak idą – mrugającym gwiazdom widowisko,
Skradając się w ciemności—pod murami blisko—
Nędzarze obsypani śmiechem—jak perłami
Zwiędłe kwiaty—zlewane pełną życia rosą.
I coraz szybsze biorą przed siebie rozpędy
Ścigani skrzydlatemi radości głosami
I naiwną melodyą znajomej kolendy:
I po pustych ulicach pustkę swoją niosą.

O bracie! jeśli kiedy dom twój uweseli,
Szczęście płynące z cichych białych rąk kobiety!
Jeżeli życie twoje—jak chleb się rozdzieli,
Jeżeli będziesz kiedy, jak djament rozbity,
Widzący cząstki swoje—a w każdej z nich siebie;
O bracie, jeśli znajdziesz się w rodzinnem niebie,
U wiljowego stołu—zostaw miejsce jedno
I, jak ewangeliczny gospodarz, przyprowadź—
Z ulicy ośnieżonej—jąką duszę biedną,
I każ ją dzieciom twoim z rozpaczy ratować.
Uwierz,—o ty, co badasz głąb ludzkiego ducha,
Jak straszna jest w ów wieczór pustka, w koło głucha,

I na pustą ulicę patrząc—pomyśl, proszę,
Że i ja się z sieroctwem beznadziejnem noszę,
I że jak inni, przędąc szare smutku włókno,
Stać gdzieś będę—wpatrzony w cudzych ludzi okno!

OSTATNIA SCHADZKA.

Dziś rozstawać się mieli ze sobą,
Na jak długo—nie wiedzieli sami,
I przedzielić się przestrzeni mgłami,
I podzielić się wspólną żałobą.
Do tej samej ławeczki pod bzami,
Kędy późną siadywali dobą,
Dzisiaj przyszli rozstawać się z sobą,
Na jak długo nie wiedzieli sami.

Jak kwiat róży życie obrywali,
Aż nie stało miękkich listków dłużej;
I uczuli, że się niebo pali
Po nad niemi błyskawicą burzy;
Że im razem już nie płynąć dłużej,
Jak dwom łodziom złączonym na fali,
Aż cierń losu wyjrzał z pod tej róży.

Wszystko było tutaj, jak bywało:
Taż na kwiatach nie strząśnięta rosa,
Też nad nimi błękitne niebiosa,
Flotą chmurek zaludnione białą;
Taż kapela ptaków srebrnogłosa;
Którą echo echu podawało;
Taż na kwiatach niestrząśnięta rosa;
Wszystko było tutaj jak bywało.

Więc nie mogli pojąć i uwierzyć,
Żeby z nimi tylko się zmieniło;
Żeby można szczęście przeżyć,
Kiedy tyle jego swiadków żyło;
Kiedy serce ich chciało uderzyć,
Jak zwyczajnie na tem miejscu biło:
To nie mogli pojąć i uwierzyć,
Żeby nagle wszystko nagle się zmieniło.

Aż im błysła w duszy prawda sroga,
I wydarła gorzkie łzy z pod powiek
Że kwiat stalszy jest i ptak—niż człowiek,
I spokojniej leży w ręku Boga.
Że też same skargi płyną co wiek,
A niezmienna gwiazd wieczystych droga;

To im prawda błysła w duszy sroga
I wydarła gorzkie łzy z pod powiek!

Tak spojrzawszy w oczy swojej doli,
I zmierzywszy ciemną jej głębinę,
Szli, za ręce wziąwszy się, powoli
Jak milczące cienie przez dolinę:
Zatapiając bólu wzrok sokoli,
W oddalenia mgły głębokie, sine;
Patrząc twardo w oczy swojej doli,
I nurtując ciemną jej głębinę.

Aż o późnym wieczorze wrócili,
Na ostatnie pożegnania słowo,
Na tę białą ławeczką brzozową,
Gdzie im było spoczywać najmilej;
Gdzie tylekroć jutrzenkę różową
Płonącemi oczyma wstydzili;
Tam o późnym zachodzie wrócili,
Na ostatnie pożegnania słowo.

Ach, jak słowo owe się rozbiło
Na słów nowych, wciąż nowych tysiące!
Jak osina mieli ręce drżące,
Serce z sercem rozrywali siłą;

Tyle łez im z oczu się toczyło,
Żeby niemi zagasili słońce!
Ach jak słowo owe się rozbiło
Na słów nowych wciąż nowych tysiące!

Przysięgali, że się będą szukać,
Przysięgali, że się znaleść muszą,
Że codziennie nieśmiertelną duszą,
Do niebieskiej bramy będą pukać,
Że pamięci ich ludzie nie zmuszą,
Czas tęsknoty nie zdoła oszukać:
Przysięgali, że się znaleść muszą,
Przysięgali, że się będą szukać.

I kończyli i znów zaczynali,
Ani wiedząc jakby się rozłączyć:
Jak szemrząco jedne usta fali,
Którym chyba Bóg nakaże skończyć,
Chciwą ręką kielich ten trzymali,
I do dna go nie mogli wysączyć,
I kończyli i znów zaczynali,
Ani wiedząc, jakby się rozłączyć.

Aż nareszcie zerwać się musieli,
I rozbiegli się widząc dzień biały,

Lecz ich myśli—których nic nie dzieli—
Długo sobie usta podawały;
Lecz ich dusze, jako dwaj anieli,
Po nad czasem splecione leciały;
Chociaż wreszcie zerwać się musieli
I rozbiegli się widząc dzień biały.

Taką była ta schadzka ostatnia,
Nie, zaiste ostatnią nie była!
Choć ich życia oplątała matnia
I na długo od siebie rzuciła,
Znowu zwiodła ich—czy ręka bratnia
Czy też losu ironiczna siła.
Tak ta schadzka, w dolinie ostatnia,
Na tej ziemi ostatnią nie była.

Znów się zeszli—choć się nie szukali—
Lecz jak cisi, jak spokojni byli!
Już nie mogli nawet dojrzeć w dali!
Owej słodkiej pożegnania chwili,
I znalazłszy się znowu—poznali,
Że na prawdę wtedy się zgubili.
Tak się zeszli—choć się nie szukali—
I dobrymi przyjaciołmi byli.

	kop.
Brodziński. „Wiesław" sielanka wyd. II. str. 32 .	5
Coppée. Poezje: Błogosławieństwo.—Głowa sułtanki. Romans Joanny.—Drobne poezje	25
Czajkowski. Baśń o żelaznym wilku.—Madej. . .	10
Czeng-Ki-Tong Nowelle z życia Chinczyków:—Sposób na męża —Złocień.—Życie jest tylko snem. Papuga, w oprawie w oryginalny chiński papier 25 kop. broszurowane.	15
Dante Alighieri. Boska Komedja. Część I. Piekło.	60
Djabeł wśród ludu. Historja o djable jako schódł przy babie.—O djable wódkorobie.—Chłop i djabeł i t. d.	10
Gaszyński K. Sielanka młodości.—Gra i karciarze.	5
Grabowski Bronisław. Krzyż w oazie.—Rzeźbiarz Lychares (obrazek starogrecki)	5
Grajnert. Legendy:—Osiczyna i leszczyna.—Czarodziejska fujarka.—Lwia jama.—Sosna.—Bór. —Pieśń prządki.—Śpiew wieśniaczki nad kołyską	10
Jankowski J. Lalka	30
— Siostra Łucja.—Smutny rycerz.—Chore dziecko.—Śpiąca królewna	40
Krasiński Zygmunt. Poezye (Ułamki i fragmenta) z głosy św. Teresy.—Do kobiety.—Zawsze i wszędzie.—Koloseum.—Pożegnanie.—Po śmierci.—Do Beatryczy.—Roma.—Głos szatana.—Syn cieniów.—Z nocy letniej.—Z albumu Gaszyńskiego i inne (pod prasą) . .	
Karpiński Fr. Poezje: Laura i Filon i inne . .	5
Mickiewicz Adam. Bajki	5
Odyniec A. Legendy z życia św. Franciszka z Assyżu. Trzy wiśnie.—Pacierze.—Memento Mori . .	5
Or-Ot. Poezje i Monologi	40
Pług Adam. Sroczka, obrazek zaściankowy z ilustracjami	15
Słowacki Juljusz, Arab.—Mnich 5 k.—W Szwajcarji 5 k.—Ojciec zadżumionych	5
Zieliński G. Kirgiz.	5
Tennyson. Ginewra tł. Pajgert	5
Wybór poezji. Błogosławiona.—Zachwycecie.—Chata pod śniegiem.—Dzieci.—Złota kaczka. Grajże grajku	

DJALOGI, MONOLOGI i DEKLAMACJE.

Ostatnia próba. Dramat w 1 akcie przez Wacława Szymanowskiego. 15

Strachy. Kaprys sceniczny w jednej odsłonie, wierszem napisał Józef Jankowski 20

ZESZYT I, str. 64 kop. 20.—Ach Panie! *Gawalewicz.*—Ach rozumiem! *Bożydar.*—Pierwszy raz. *Kośmiński.*—Czarny szal.—Niebezpieczna. *Ujejski.*—Pijany. *Aspis.* i inne.

ZESZYT II, str. 128 kop. 40. Wyznanie. *Bałucki M.*—Zamki na lodzie. *Chęciński J.*—Chłop o letnikach. *Dygasiński A.*—Abdykacja, Spóźniona odpowiedź. *El...y.*—Panna na wydaniu; Niczego; Na estradzie. *Gawalewicz.*—„El Mole Rachmim." *Gomulicki.*—Po rozmowie. *Jankowski C.*—Pani Piperment na wodach w Ciechocinku. *Junosza Kl.*—Mój koń srokacz. *Kolanowski A.*—Pocztylion. *Kondratowicz L.*—Do kobiety. *Konopnicka M.*—Anakreontyki w górach.—*Kościelski A.*—Do kobiet. *Krasiński Z.*—Mój pierwszy kochanek. *Kuczyński J. K.*—Nie boję się burzy. *Orłowski A.* Stary aktor. *Or—ot*—System filozoficzny. *Pol W.*—Papa dobrodziej. *Przybylski Z.*—Rzucę wszelkie grymasy. Z opowiadań myśliwców.—*Radoć M.*—Odmowa. *Szymanowski W.* Marsz pogrzebowy (Tyle dzwonów) do muzyki Chopina. *Ujejski Kornel.*—Rojenia wiośniane. *Zaleski J. B.*—Miłość kobiety. *Żmichowska N. G.*—***Przykry sen. i inne.

ZESZYT III, str. 64 kop 20. Drapieżne ptasze. *Anczyc Wł. L.*—Różowa chwilka. *Asnyk.*—Gawędka. *Bałucki.*—Niefortunna przysługa. *Barański.*—Dyplomacya. Moja Siostrzyczka *Bożydar.*—Męczennica nauki. *Fulgenty.*—Smok *Gawalewicz M.*—Pogrzeb aktora. *Gomulicki. W.*—Raki. *Hajota.*—Skutki przestrachu *Kamiński J. N.*—List tajemniczy. *Kondratowicz L.*—Dalszy ciąg nastąpi. *Kośmiński P.*—Moja pieszczotka. *Mickiewicz A.*—Ty jedna. *Or—ot.*—Icek Silberstein. *Skalski.*—Aktor. *Szymanowski W.*—Terkotka. *Ujejski K.*—Sen. *Zagórski Wł.*—Miłość doskonała. *Żmichowska N. G.*—***Rozmowa.—***Moja żona pani Róża —***Rozumiemy się (djalog) i inne.

ZESZYT IV. str. 128 k. 40. Zdradne okno. *Alf.*—Bankrut, *Aspis.*—Dzionek obywatelski. *Bartels A.*—Kobieta (djalog). *Dancourt-Grenet.*—Pieśń na dwa głosy. *Deotyma.*—Do płci

pięknej. *Godebski C.*—Gwido (wyjątki z poematu). *Jabłoński H.*—Bałamutka.—Nerwy panny Zofii (dyalog). *Jankowski C.*—100000 posagu. *Kiciński B.*—List do p. Lüde. Bobo. *Koźmiński P.*—Pijany. *Kraszewski J. I.*—Co małżeństwo z dziewcząt robi. Na maskaradzie. *Or—ot.*—Złośnica. *Ordon W.* (Szancer).—Humorysta. *Orłowski A.*—Królowa balu. *Pilecki A.*—Pani Lüde na estradzie. *Przybylski Z.*—Pojedynkowicz. *Reinstein.*—Wycieczka Jowisza do Warszawy. *Radoć.*—Hagar na puszczy. *Ujejski K.*—Rozmowa pijaka z księżycem. Ten Trzeci. *Zagórski W.*—*** Djabeł mężem.

ZESZYT V, str. 96 cena k 30 Kotek Angora. *Aksel.*—Przysięga dziewczęcia. *Bałucki.*—Zaściankowa lwica. *Chochlik.*—Jeszcze zamki na lodzie. *Chęciński J.*—Bachantka. *Felicyan.*—Mój Walczyk. *Gawalewicz.*—Przy kielichu. *Miriam.*—Do ukochanej, *Krasiński Z.*—Danajdy. *Mickiewicz*—Moje kieszenie. *Manselet.*—Monolog bez tytułu *Sęk.*—Pigmalion *Węgierski.*—Wyspa wszelkiej pomyślności. *Żółkowski. A.*—Improwizacja. *Żmichowska G.*—***Chusteczki ojczulka.

ZESZYT VI. (pod prasą). Pan Stefan z Pokucia.—Do nowonarodzonego.—Do mężczyzny.—Dziady (urywek).—Pocałunek.—Ostatni sen Tassa.—Dzwony.—Posag.—Szubieniczka.—Przy mazurku Szopena.—Moriturus.—Podlotek.—Do dziewczęcia.—Czaty.—Strachy i inne.

Franciszek Reinstein. Djalogi i Monologi wypowiadane przez Wł. Szymanowskiego reżysera Teatru Rozmaitości i dyrektora klasy dykcji i deklamacji przy W. T. M., oraz przez M. Frenkla pierwszego komika komedji. *Treść:* Być albo nie być.—Pieśń bez słów.—Mąż filantropki.—Impresarjo (djalog) . . . . kop. 15

Anegdoty z życia Napoleona I. 60
Album humorystyczny ilustrowany. Nasi żydkowie. Szkice piórem i ołówkiem (pod prasą)
Księga Anegdot. 20
Nasze żony i żoneczki podpatrzył i podsłuchał Ten trzeci. 25
Śpiewnik Polski. Zbiór śpiewów salonowych i ludowych, Krakowiaków, Kujawiaków i Oberków. 20